

*Die 5 septembris
Gliniany, gdzieś na uboczu obozu
Godzina czwarta*

Na pojedynku spotkali się za kępą rokity poza obozem, nieopodal Zamościa, przy Przegnojówce. Towarzystwo spod chorągwi carskiej stanęło półkolem nad wodą, przepychając się i poklepując po ramionach, dzierżąc kubki i kufle zabrane z karczmy, jak gdyby była to równie nieodłączna ozdoba szlacheckiego stanu co szabla czy sajdak.

– Mości panowie, nie brykajcie – mruknął Gogoliński. – Bijecie się nie dalej jak do pierwszej krwi, inaczej będzie awantura. Artykułów wojskowych jeszcze nie wydano, ale zawsze to zwada pod bokiem carewicza i wojewody. U boku króla dalibyście za to gardła, a na sejmie poszlibyście pod trybunał!

– Po tym, co mi ichmość pan uczynił, będę się bił do ostatniej posoki!! – mruknął Przybyłowski. – Nie bój nic, rycerzyku! Szlachcic bez blizny to jak pozew bez podpisu. Jeszcze się będziesz szramą pannom chwalił.

- Gdzie staniemy?
- Tu, na trawie. Tchórz oblatuje?
- Chyba waszmości. Ten, którym jesteś podszyty.
- Stawaj! Szkoda gadaniny!

Ścisnęli w garści szable, stanęli na ugiętych nogach, mierząc się chłodnymi, obojętnymi spojrzzeniami. Dla Przybyłowskiego była to jeszcze jedna zwada, dla Dydyńskiego zwykle sprawdzanie umiejętności przez towarzystwo chorągiewne. Nie było bowiem dla nikogo tajemnicą, że na leżach i popasach rycerze polscy odwoływali się do żelaza częściej niż do bożej sprawiedliwości, a łapali za szable z byle powodu. Zdarzało się nawet, że całe chorągwie stawały przeciwko sobie, bijąc się o ćwierci, czyli żołd wypłacany co kwartał, albo stancje. A czasem stawały w szranki tylko po to, aby przekonać się, kto komu przytnie czuba i uszu, a wraz z nimi zbyt wybujałą fantazję.

Dydyński wyskoczył pierwszy, ciął leciuteńko, zadając cięcie samym nadgarstkiem, na odlew, to znaczy z lewej, od góry i na skos, a potem wbrew, czyli pionowo. Przybyłowski wylał cios piętą zasłoną, od niechcenia rąbnął z nadgarstka, leciutko. Dydyński przyjął atak na zastawę węgierskiej szabli. Od razu, przechodząc do odpowiedzi – czyli błyskawicznego ciosu zadanego natychmiast po cięciu przeciwnika – chlasnął włęg; płasko, od lewej w pierś, dodając do siły nadgarstka moc łokcia i ramienia.

Mikołaj nie złożył zastawy; przyjął cios na przeciwtempo; odchylając się do tyłu, rąbnął stolnikowica w głowę – wrąb, czyli z prawej na ukos w dół. Krótco, szybko niczym błyskawica!

Za wolno! Pióro stolnikowica chlasnęło go w pierś, ścięło złożony guz z rubinem, rozcięło aksamit husarskiego żupana niczym dobrze naostrzona brzytwa. Przybyłowski zakołysał się na nogach, odbił kolejne cięcie desperacką, niezbyt udaną zasłoną.

– Nie ma krwi! – zakonkludował porucznik. – Poczynajcie dalej, waszmościowie.

Dydyński skoczył na wroga jak wygłodniały żbik. Czuł, że prawie ma w rękę tego starego grzyba, który mógłby być jego ojcem – gdyby oczywiście miał jaja i tyle fantazji, aby zdobyć względy przyszłej pani Dydyńskiej, matki Jacka! Już niemal czuł, jak tamten dostaje zadyszki, jak chwieje się na nogach, osłaniając mdlejącą ręką od ciosów.

Dlatego zamarkował prostą sztuczkę. Ciął kilka razy z nadgarstka na przemian: na odlew i włęg – czyli raz skośnie, a raz płasko z lewej, czekając, aż ręka wroga przyzwyczai się do składania zasłon na tych kierunkach, aby potem niespodziewanie uderzyć z zupełnie innej strony. Nie myślał, rzecz jasna, aby Przybyłowskiego dało się pokonać fortem obrosłym w brodę godną senatora, ale jedna zmyłka zawierała w sobie drugą. Nagle bowiem, zamiast ciąć włęg, niespodziewanie Dydyński uderzył skośnie, od dołu, z lewej. To znaczy tylko zamarkował taki ruch, spodziewając się, że nie ujdzie on uwagi Przybyłowskiego. I zaraz, w tej samej chwili, wyskoczył wypadem w przód, zadając płaskie pchnięcie.

Prawie trafił... Prawie, bo nagle zmija przemknęła po jego lewym łokciu. Pióro szabli minęło bok Przybyłowskiego prawie o włos. Dydyński poczuł zimny chłód w lewej ręce, ale zapamiętał rąbał dalej przeciwnika.

– Krwawi!

– Dostał!

– Rozdzielcie ich!

I nagle zaroilo się wokół nich od szlachty i czeladzi. Ktoś odbił cios szabli stolnikowica, inny chwycił go za ramię, zatrzymał. Rozerwano ich, roztracono. Na próżno szarpał się, bo zdawał sobie sprawę z tego, że dostał, a walka jest skończona. Czuł rwący, przenikliwy ból w lewym ramieniu i sam dziwił się, jak to się stało, że przegrał starcie z takim starym capem!

– Mości Dydyński, dość już! – zagrzemiał Gogoliński. – Spokój! Starczy tego! Nie przyszłście tu po śmierć, ale by poznać wolę bożą!

- Która okazała się łaskawa dla pana Przybyłowskiego!
- Opatrzcie go!
- Wicek, szarpie dawaj!
- Zagnieście chleba z pajęczyną.

Krew kapiała z przeciętego ramienia nieco poniżej lewego łokcia. Stolnikowic spojrział obojętnie na ranę, otarł pot z czoła prawym nadgarstkiem. Zerknął na roześmianego adwersarza.

- Wygrałeś waść... Jesteś oblubieńcem Fortuny. Korzystaj z niej... póki ci wiek pozwala!
- Opatrzcie sanockiego rycerzyka! – wydyszał Przybyłowski. – I idźcie sobie wreszcie. Do wszystkich... diabłów!
- To jak będzie ze sporem? – zapytał Gogoliński. – Rozstrzygnięty?

– Wpisujcie mnie do rejestru, jak chcecie – warknął Dydyński. – Nie będę ujmował czci imć Przybyłowskiemu. Dzisiaj jest góra. Ale nie zawsze tak będzie!

Szybko podwinęto mu rozcięty rękaw żupana (będzie nowy wydatek, skaranie boskie!). Wezwany z obozu Żyd zszedł brzegi rany dratwą, co Dydyński zniósł cierpliwie; potem przyłożył chleba zagniecionego z pajęczynami, przyklepał, owinął szarpkami. Ręka zeszytniała od razu, na szczęście nie w niej trzymał szablę.

– Był spór, nie ma sporu! – obwieścił gromko porucznik. – A teraz, waszmościowie, padnijcie sobie w ramiona i darujcie winy.

Dydyński win nie darował, co najwyżej przesunął na późniejszy termin wyrównanie tego porachunku. Tymczasem padł jednak w ramiona Przybyłowskiego. Pokleпали się jak dwa niedźwiadki, pociągnęli gorzałki z bukłaka i było po sprawie.

Ot, zwykły dzień w polskim obozie.

A po sprawiedliwości trzeba dodać, że takich pojedynków bywało każdego wieczoru po kilka, kilkanaście. I nie wszystkie kończyły się tak gładko i przyjemnie. Czasem wołano balwierza, zdarzało się wszelako, że i księdza.

Die 5 septembris
Gliniany, obóz wojsk Dymitra
Dzwonią na kompletę

Po opatrzeniu Dydyńskiemu nie pozostało nic innego, jak tylko wrócić na majdan, aby w większym towarzystwie zapisać ból rannej ręki, zmyć plamę na honorze cynowymi kuflami piwa jezuickiego tudzież glinianymi szklanicami lipcowego miodu. Najpierw nastąpiły jednak przedstawienia, uściski i objęcia. Tak więc Jacek dowiedział się, że chudy jak chmielowa tyka szlachcic z wąsami niby dwa wiechcie słomy i gębą poznaczoną czarnymi cętkami po prochowym wystrzale zwał się Walenty Rodziński, dwaj towarzysze Podlasiacy zaciągający z ruska to Michał Rudomina i Józef Aniołowicz. Wesoły brodacz zaś, który na każdą krotochwilę miał w zanadrzu gotowy koncept, zwał się Marcin Odrzywolski, rodem z Prus Królewskich. W sumie, jak to zwykle bywało w chorągwiach prywatnych, panowie towarzysze tworzyli prawdziwą wieżę Babel, bo jedni pochodzili z Małej, inni z Wielkiej Polski, było też kilku przybyszów z Litwy, ktoś z Rusi, z ziemi chełmińskiej, inny znowu z Ukrainy. Kilku zaś z wojsk inflanckich, którzy podziękowali za służbę, kiedy nie nadchodziły kolejne ćwierci. Nie wszyscy służyli jeszcze za króla Stefana, jak Przybyłowski, jednak większość miała za sobą przynajmniej jeden rok służby, wiedziała więc nie tylko, gdzie łeb, a gdzie ogon konia, ale także co z owym zwierzęciem zrobić, jak czynić obroty oraz – rzecz oczywista – jak zastawiać się kopią i bić szablą. Poczty mieli przeważnie dwulub trzykonne, co pokazywało dobitnie, że mało było wśród nich zamożnej i służącej szlachty.

Dydyński dałby sobie obić gębę, że inflancczycy nie odeszli z wojska przez to, iż nie doszły do nich skarbowe pieniądze, ale zbiegli spod chorągwi przed wyrokami godzącymi na ich szlacheckie gardła ostrzem katowskiego miecza. Nie bardzo też chcieli mu się wierzyć, że pan Odrzywolski wywodził się, jak powiadał, z rodziny z dawna osiadłej w Prusach Królewskich,

podejrzewał prędzej, że zamiast szlachetny ojciec jego pisał się sławetny i był zwykłym miejskim łyczkiem, ot, na ten przykład łupikotem – kuśnierzem. Pan Aniołowicz, gdyby mu skrzydła opalić dębowymi kijami, zapewne okazałby się Aniołkiem zrodzonym nie we dworze, ale w chłopskiej chałupie. A imć Golian zdawał się człkiem, któremu dla parchów często golono głowę, stąd Goły Jan się przezwał. Podobne podejrzania miał Jacek co do pana Świdzińskiego, bo ostatnimi czasy nagle zrobiło się w Rzeczypospolitej podejrzanie dużo Świdzińskich. Od kiedy głód zajrzał w oczy zaściankowej szlachcie ze Świdna pod Chodlem, kupić od nich można było nazwisko za beczkę piwa czy parę dobrych butów.

Chcąc nie chcąc i będąc w mniejszości, wpadłszy między wrony, musiał pan Dydyński krakać tak jak one. Zwłaszcza że z rozwalonym ramieniem nijak mu było udawać szlacheckiego orła w gromadzie strojącej się w cudze piórka. Siedział zatem, kłął w myślach Przybyłowskiego i przysłuchiwał się gadaniu reszty towarzystwa.

A było czego słuchać, bo nikt nie wiedział, kiedy nastąpi wymarsz i ile wojska jeszcze ściągnie do obozu. Przede wszystkim zaś – co zamierzają Dymitr i wojewoda sandomierski. Przy trzech tysiącach zaciężnych chorągwi, tysiącu hultajstwa i zbieraniny marsz na Moskwę i zajęcie Kremla wydawały się bowiem przedsięwzięciem równie pewnym co spacer w pełnej zbroi po marcowym lodzie.

Rozmowa zesłała zatem na sprawy moskiewskie, dotyczyła zwłaszcza wojska, które car mógł wyprowadzić w pole. Mikołaj Przybyłowski, jako dawny żołnierz króla Stefana, mógł wreszcie zabłysnąć wiedzą równie jasno co szablą w niedawnym pojedynku.

– Potęga Moskali – perorował nad szklenicą z miodem, którego niedobory uzupełniano mu tak szybko i gładko, że nawet tego nie zauważał – zasadza się na wielkiej liczbie zbrojnej i lada jak uzbrojonej hołoty, którą oni zwą dworjaństwem – to takie nasze pospolite ruszenie ichniejszej szlachty. A także na

wytrzymałości do znoszenia trudów, zimna i głodu, który od dziecka jest nieodstępnym towarzyszem każdego Moskala.

– W szyku dobrze się biją? – zapytał Rudomina.

– Najpierw – mruknął Przybyłowski – musisz waszmość wiedzieć, że u nich żadnych szyków nie ma. Nie dotrzyma ci Moskwicin pola, kiedy uderzysz na niego z kopią, bo cała ich jazda zwykła bić się jak swawolna kupa. Po wtóre zaś pamiętać należy, że oni bitwy staczają po tatarsku – podchodząc pod nieprzyjaciela, wypuszczając strzały, czasem ścierając się wstępnym bojem, a potem odskakując, aby za chwilę wrócić i znowu uderzyć – jak wilk. Z ich jazdą będzie tylko jeden kłopot: siła ich wielka, ale lada jak uzbrojona.

– Chwała Bogu! Położymy ich mostem jak pod Orszą.

– Ja bym nie chwalił dnia przed zachodem. Moskal szczeryj żołnir, charoszyj, rycerz luty, chociaż mu słoma z butów wystaje. Mości panowie, cóż oni mają do stracenia? Potrawy moskiewskie proste: czosnek, cebula, kapusta, suchar, a trunek – gorzała smrodliwa, którą oni nazywają hosudarskim winem. Mając takie delicje za wytworne dania, Moskal nie żałuje żywota, śmierć mu niestraszna, bo w niedoli żyje. Nie żałuje delicji, bo ich nie kosztował. Nie zapłacze nad swoją Fiedką, Marfą czy Paraską, bo szpetna grubianka. Nie zaboli go serce nad synami, bo ci z nim wojują i zginą. Nie żałuje pięknego dworu i dostatku, bo jego prosta chata niebogata. Toteż ochoczo ginie na wojnie, obiecując sobie raz zginąć heroicznie, niż zawsze żyć nędznie.

– A poza tym – wtrącił Gogoliński – u nich wielki ksiązę to Bóg i samowładca i nikt nie śmie sprzeciwić się jego woli. A jeśli nawet ona niezrozumiała, tedy pokornie chylą głowy, mawiając: to wie tylko Hospodi i wielikij car.

– Tfu! – splunął Przybyłowski. – Jaki on wielki i co za car! Zwyczajny ksiązę moskiewski, uzurpator, co przybrał sobie tytuł cesarza Wschodu. Równie dobrze ja mógłbym się zwać królem Swebów, Gotów i Wandalów!

– Powiedz to Dymitrowi, panie kochanku! – prychnął porucznik. – Nazwij go publicznie wielkim księciem przy lu-

dziach. Dalibóg, chciałbym widzieć twoją głowę trzymającą się karku.

– Powiem, nie bój się, panie bracie! Powiem mu wszystko między oczy... Jak już zapłaci za służbę, he, he!

– To chyba po wzięciu Moskwy!

– Kiedy na Kremlu pić będziemy!

– W Granitowej Pałacie!

– Trzeba jednak przyznać – mruknął Przybyłowski – że znacznie lepsza od jazdy jest ich piechota – strzelcy, a przede wszystkim artyleria. Ponadto car Borys zaciągnął na służbę kilka tysięcy niemieckiej i inflanckiej piechoty, którą komenderuje Jakub Margaret i niejaki Woundmann, który służył kiedyś u króla Stefana. Ci na pewno staną w szyku, ale reszta Moskali pójdzie na rzeź jak bydło. Oby nam sił starczyło do ich wycinania.

– Jak oni mają dobrze wojować, kiedy w Moskwie nie ma żadnych nauk – zastanawiał się Aniołowicz. – Moskale ich nie używają, bo zakazane są dlatego, aby się który z bojarów nie okazał mądrzejszym od cara! Za tyrana Groźnego jeden kupiec przywiózł cały wóz kalendarzy Jerzego Grzegorza Kostowickiego. A kiedy dowiedział się o tym gosudar, nakazał kilka przywieźć do siebie i przeczytał. A że okazały się tak zawile, iż sam car z nich nic nie rozumiał, obawiając się, aby jakiegoś rokосу w głowach poddanych nie podniosły, nakazał wszystkie zarekwirować i zapłaciwszy kupcowi, wrzucił je do ognia.

– To i tak dobrze – wtrącił Dydyński – że przekupnia nie posadził na paliku albo nie przypalił pięt i brody. Takie obyczaje zwyczajna rzecz w Moskwie.

– Za Iwana jeden bojarzyn – wtrącił pan Golian – który był posłem w Polsce, przypatrywał się naszym dworom i karczmom. A kiedy wrócił do Moskwy, kazał sobie postawić dom z ciosanego drewna. Gdy zaś dowiedział się o tym wielki książ, gosudar i ich moskiewski Bóg, kazał pospółstwu dwór obrzucić łąnem, a potem rozwalić, powiadając, że bojar zdrajca, bo chce się równać Jego Carskiemu Wieliczestwu!

- No to, mości panowie, za wzięcie Moskwy!
- Oby nam się szczęściło!
- Wiwat!
- Na zdrowie!

Dydyński spełnił toast, ale w pogawędce już nie uczestniczył. Nagle bowiem zobaczył, jak na majdan wjeżdża kary koń z Adamem Dworyckim, a za nim tłoczy się zbrojna czeladź.

Nemezis przybyła. Jacek pomyślał od razu o niedawnym pojedynku, schował owiniętą szarpianami rękę, bo jego zaprzysięgły wróg miał sokoli wzrok. Czekał dalej zaciekawiony, czy Dworycki przyjechał robić mu awanturę, a może zabrać do więzy za wyciągnięcie szabli w obecności carewicza. Jednak Adam wstrzymał konia, pochylił się, sięgnął ręką kolejno do prawego i lewego puślika, wyszarpnął strzemiona spod stóp, a potem poklepał wierzchowca po szyi. Na ten znak dobrze ułożony koń położył się na ziemi. Dwaj pachołkowie ujęli Dworyckiego pod ramiona, dźwignęli w górę na bezwładnych, pokrzywionych nogach, a potem posadzili na najbliższej ławie. Kiedy szlachcic świsnął, koń poderwał się na nogi.

Adam, wleczony nad ziemią przez służbę, nie wzbudzał złości ani gniewu; wyglądał żałośnie, skłaniając do zastanowienia się, jak okrutne bywają czasem wyroki Opatrzności. Od dwóch lat, od kiedy w Inflantach kula ze szwedzkiego falkonetu uderzyła go w plecy chronione naplecznikiem od husarskiej zbroi, Dworycki nie władał nogami i ledwie mógł utrzymać się wsparty na kulach. Koń zastępował mu zdruzgotane nogi, kopyta – stopy, pęciny – łydki, jak u legendarnego centaury. Bez wierzchowca dawny kompan Dydyńskiego nie byłby mężczyzną i szlachcicem, ale luźnym tobołem nieszczęścia odliczającym z ulgą każdy dzień, który przybliżał go do śmierci. Być może ktoś inny, mniej zaradny, bardziej strachliwy i nie tak uparty, wsadziłby sobie w usta lufę króciicy, jednak Dworycki nie chciał skończyć jak tchórz skazany na wieczne potępienie.

Zasiadłszy na ławie i chwyciwszy kubek wina, nie krzyczał, nie rzucał się ani nie awantuował. Spoglądał tylko smutnym



wzrokiem na stolnikowica, któremu pomimo żupana i grubej ferezji na grzbiecie nagle uczyniło się po prostu zimno.

A potem jeden z pachołków Adama podszedł bliżej i skłonił się, gniotąc w rękę czapkę.

– Jegomość pan Dworycki prosi waszmości na wino.

– Nie jestem mile widzianym gościem w kompanii twego pana.

– Mój pan sam przyszedłby do waści, gdyby mógł. Spełnijże, waszmość, prośbę dawnego druha – Bóg ci policzy w niebie dobry uczynek.

Dydyński podniósł się, jakby u kolan miał stukilowe ciężary, zabrał garniec z miodem, a potem podszedł do stołu Dworyckiego. Skłonił się i siadł sztywny, jakby połknął nie jeden, ale pięć kijów i na dodatek jeszcze ze dwa pogrzebaczce.

– Czołem waszmości! – rzekł Dworycki. – Piję twoje zdrowie – uniósł kubek – i do zabawy zapraszam. Chyba że nie chcesz pić z kaleką.

Dydyński ujął podaną przez sługę czarkę wina, przepił zacynym reńskim, osuszył naczynie do dna. Nic nie powiedział. Czekał.

– Jutro wyruszamy – rzekł beznamiętnie Dworycki. – Idziemy na Moskwę, bić się z carem Borysem o Czapkę Monomacha dla Dymitra Iwanowicza. Stawiamy los na jedną kartę. Wóz albo przewóz. Śmierć albo zniszczenie. Jak myślisz, panie bracie – wygramy?

– Myślenie nie należy do moich obowiązków – mruknął Dydyński. – Ja jestem, aby rąbać szablą i kłuć kopią Moskali. To wy – możni panowie – pokazujecie, kiedy i kogo.

– Co znowu za my i wy?! Do mnie pijesz? Albo to ja karmazyn?

– Piję... twoje zdrowie. I cieszę się szczerze, że doczekałeś się godności. Wprawdzie w prywatnej rocie, ale zawsze... Służ wiernie Dymitrowi, a zrobi cię kiedyś hetmanem.

– Dokąd miałem iść, skoro wytrąbiliście mnie z chorągwi Niewiarowskiego?! Ty sam byłeś przeciwko mnie. Pewnie nie

pamiętasz, jak gadałeś w kole, że kopii nie utrzymam i sam na konia nie wsiądę!

Mylił się, bo Dydyński pamiętał wszystko, dzień po dniu, tak jakby wydarzyło się to wczoraj.

– Nie chcieliście mieć w rocie kaleki. Odesłaliście precz jak kulawego psa, żałując nawet pożegnalnej kuli.

– Towarzystwo było przeciwko tobie...

– Pies jebał towarzyszy husarskich. Ale dlaczego ty, Brutusie? Liczyłem na jedno dobre słowo... Nie byłem nigdy człowiekiem, który wszystkie chęci i czyny odmieniałby na talary, ale myślałem, że po tym jak pomogłem ci wydobyć pannę Zawiszanę z opałów, stać cię, panie bracie, na piękny gest.

– Milcz, waszmość!

– Zadra w sercu, co, mości Dydyński?! Cóż chcesz, historia jak z powieści jarmarcznej albo z romansu królewskiego Zygmunta Augusta i Barbary Giżanki. Ty tutaj ze złamanym sercem, a ona w klasztorze.

Dydyński wstał.

– Gdybyś nie był kaleką – warknął nieprzyjaźnie – pogawędzilibyśmy w ustronnym miejscu. Gdzie chętnie poskromiłbym twój jęzor szabelką! Cóż to, zaprosiłeś mnie tylko po to, panie bracie, aby ze mnie drwić i szydzić? Myślisz, że przestraszę się twojej pułkownikowskiej buławy?

– Zaprosiłem cię, abyśmy wybaczyli sobie winy, mości Jacku. Moje, twoje, wspólne, ech, nieważne! – Machnął ręką. – Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Akurat! I wypominasz mi Zawiszanę?!

– Akurat ja uczyniłem wszystko, aby uczynić was szczęśliwymi. Sam ryzykowałem gardłem, by przejąć jej włości. Nie moja wina, że kasztelan trocki miał siłę i prawo. Nie z mojej sprawy ślęczy teraz w klasztorze. A wiesz przecież, co się stanie, gdyby próbowała z niego wyjść?

– Nie musisz mi przypominać, że kat jej utnie głowę! Naprawdę sam powtarzam to sobie każdego ranka i wieczora. Zawiodłem... Tak, nie obroniłem własnej ukochanej od stryja!

Powtarzaj mi to! Szarp moją duszę, znęcaj się jeszcze! Ja wszystko zniosę!

– Panie Jacku. Ja nie... Pogódźmy się.

– Nie, to... Nie tak. To ja – Dydyński uczuł się tak, jak gdyby zrzucał z piersi stufuntowy ciężar – pokornie proszę o wybaczenie... Wtedy, na kole chorągiewnym w Inflantach, nie powinienem... A niech to wszyscy diabli!

Uściskał prawicę dawnego kompana. Padli sobie w objęcia, a potem wypili. Niby się pogodzili. Niby odpuścili grzechy, ale Dydyński wiedział, że nic już nie będzie takie jak dawniej. Prawdę chyba gadał ojciec Miechowita w kościele, że krzywdy nigdy nie da się naprawić; zawsze zostanie po niej krew, potem i łzy. I diabelskie nasiona zemsty.

– Jutro wymarsz. Po popisie wojska. I egzercerunkach przed carewiczem.

– W trzy tysiące ludzi przeciwko potężde moskiewskiej? Wierzysz w cuda?

– Zacząłem. Kiedy po postrzale dosiadłem znowu konia. I pokazałem, że jeszcze jestem szlachcicem, a nie kaleką.

– To dobrze. Może wymodlisz zwycięstwo.

– Są dwa sposoby sprawowania władzy i jej zdobywania: siłą, na sposób zwierzęcy. I tak właśnie rządzi car Borys Godunow, tyran, uzurpator, samodzierzca na tronie z krwi i czerepów poddanych. Ale my zdobędziemy ją prawem, sprytem i podstępem, który obali każdą, największą nawet potęgę.

– To Machiavelli, Italczyk. *Il Principe*, zdaje się, albo *Discorsi*, już nie pamiętam.

– To Jan Buczyński, szlachcic polski. Sekretarz i zaufany cara Dymitra Iwanowicza.

– I jak wnioskuje, pewnie wierny partyzant Machiavellego?

– Po prostu człowiek, który ma oczy i uszy szeroko otwarte.

– A cóż ten polski Machiavelli uczyni, kiedy car wyśle przeciwko nam sto tysięcy wojska? Zamacha włoską księgą i jak Mojżesz otworzy nam drogę przez Morze Ponckie?

– Sto tysięcy Moskali to tłum. Jak tabun dzikich koni albo stado buhajów. Póki pędzą przed siebie gnane przez nadzorców, są groźne, ale zranione lub wystraszone mogą obrócić się przeciwko swoim. Wtedy zmieniają kierunek i uderzają na oślep, tratując wszystko, co napotkają. I wówczas trzeba jedynie użyć rozumu w taki sposób, aby nie znaleźć się na ich drodze. I oby droga ta wypadła przez szyki nieprzyjaciół.

– Ty ciągle myślisz, że wygramy? Paradnie! Zabierz tę troskę z mojego karku, a prościej będzie mi zdejmować wrogie dusze razem z moskiewskimi łbami.

– Zdobędziemy Kreml, panie Jacku. Sam jeszcze wspomnisz moje słowa. Kpiłeś sobie ze mnie, że zostałem porucznikiem w nadwornej chorągwi, a nawet nie domyślasz się, dlaczego tak postąpiłem. Wstąpiłem na służbę do cara Dymitra, bo właśnie tu, w tym obozie, wśród nas wszystkich narodzi się nowa potęga, nowa myśl, która zmieni oblicze nie tylko Moskwy, ale i Rzeczypospolitej.

– Rzeczypospolitej? Idzie ci o to, że Dymitr zwróci nam Smoleńsk i Siewierszczyznę?

– Idzie mi o to, że jeśli carewicz zasiądzie w Moskwie, może łatwo dojść do połączenia obu tronów.

– Jakich tronów?

– Rzeczypospolitej i Moskwy... Kiedy zwiąże je w jedną całość osoba króla i pana.

– A to w jaki sposób?

– Tak samo jak przed laty przodkowie powołali na krakowski tron Litwina Jagiełłę, tak my po wiktorii powołać możemy do Warszawy Dymitra...

– Oszalałeś waszmość?! – Dydyński porwał się z ławy. – Przecież mamy własnego króla, Zygmunta Wazę, wybranego na elekcji w tejże samej Warszawie! Mości panie bracie, przyszedłem tutaj, czując woń zacnego wina, a tymczasem od ciebie, Adamie, wonieje rokoszem na pół mili. Wsadź łeb w ceber wody albo wylej na siebie beczkę, jeśli ci gorąco. Co ty mówisz?! Pana naszego przyrodzonego chcesz z tronu zrzucić? Nie jestem

regalistą ani dworzaninem królewskim, ale nie będę słucał takich słów.

Odstawił z pasją kubek na deski stołu, aż huknęło.

– A cóż godnego chwały uczynił Jego Królewska Mość przez te szesnaście lat? Co królewskiego? Po pierwsze: piece wymyślał! Po drugie: grał w piłkę! Tfu! Obraza boska! Po trzecie: bawił się alchemią! Po czwarte: mieszkał w seraju i tam syna ćwiczył. A po piąte: przywłókł sodomie do Rzeczypospolitej! Co tak oczy wytrzeszczasz, panie Jacku, prawdę mówię! Toż już senatowi przedłożył, że chce za żonę pojąć siostrę nieboszczki Anny – Konstancję! Szykuje nam nową Niemrę na królową Polski i Litwy! Sprośną, kurewską Rakuszcankę, złą jak jaszczurka! A tymczasem wszystko się wali w Rzeczypospolitej! Pieniądzy na wojsko nie ma, za to jezuici jak skopy porastają! Dekrety trybunalskie łamie, pokoju w wierze nie przestrzega! Wojnę mamy ze Szwecją, skąd go wypędzili, druga szykuje się z Moskwą, trzecia z Portą Otomańską!

– Wojnę z Moskwą to my właśnie wywołujemy – przywołał Dworyckiego do porządku Dydyński. – I niechaj ten twój Machiavelli z zaścianka Ogończyków, znaczy pan Buczyński, myśli raczej, co czynić, abyśmy w razie klęski zachowali nasze szyje dla pocałunków dziewczek, a gardła dla łykania zacnego węgryzna. Jeśli gniew cara obróci się na Rzeczpospolitą, a my wrócimy pobici, panowie bracia podgołą nas katowską brzytwą jak amen w pacierzu, a Dymitriaszkę posadzą na paliku, aby mu przypomnieć, że na tronie wcale nie tak lekko się zasiada!

– Lecz jeśli wrócimy w wieńcu zwycięzcy, przejrzą na oczy. A wtedy każde moje słowo o jedności z Moskwą nagle może brzęczeć jak złoto.

– Oby tylko ten wieniec nie był z konopi – mruknął powątpiewająco Jacek. – A brzęk nie był dzwonieniem łańcuchów w dolnej wieży. To, co mówisz, to jeszcze większe szaleństwo niż porwanie się paroma tysiącami ludzi na całe Wielkie Księstwo Moskiewskie, którego nie zdołał podbić nawet król Stefan z Siedmiogrodu. Dymitr na polskim tronie? Toż car mo-

skiewski jest u siebie absolutus dominus⁶²! Nie będzie mu się chciało panować tam, gdzie ręce związane będzie miał prawami i paktami. Wszak Polska to nie Moskwa, gdzie może wedle swej woli ozdabiać panami braćmi szubienice niczym patery kiściami winogron.

– Nie będzie ozdabiał! Bo po pierwsze: naród nasz niewymownie umiłował, mowę polską poznał, powrócił też do wiary katolickiej, co zjedna mu serca biskupów i kardynałów. Wielka to jest sława zostać królem Polski, panować narodowi tak zacnemu, szlachetnemu, wolnemu, sławnemu, rycerskiemu, walecznemu i każdemu nieprzyjacielowi straszному. Wreszcie: w czym on ci gorszy, panie bracie, od poganina Jagiełły?

– W tym, że Moskal. A ja jeszcze w kołysce z mlekiem od matki wyssałem prawdę, że każdy z nich to grubianin, szelma, łotr i z kurwy syn!

– Aby popierać naszą sprawę, nie musisz kochać Moskali. Przyłącz się do mojej partii, pomóż usunąć Zygmunta Wazę, a zajdziesz wysoko.

– Wysoko czy głęboko?

– Wyżej niż pagórki sanockie. Na senatorskie krzesło. Na kasztelanię albo województwo.

– To trochę przymało – mruknął Dydyński. – Dymitr daje mi księstwo suzdalskie, a na dokładkę Orzeł i... koniuchem mnie nawet na swoim dworze uczyni! A niby jakie województwa możecie mi dać? Ruskie? Pruskie? A może inflanckie?

– Jeśli będziesz mężnie nas wspierał, kto wie, może i buławę hetmańską...

– Mówisz: nas. A więc takich partyzantów jak ty jest więcej?

– Cała Rzeczpospolita i jej naród szlachecki!

– Bracia Buczyńscy to raz. Pan wojewoda Zebrzydowski, książę Janusz Radziwiłł. Kto jeszcze? Szczęsny Herburt? Prokop Pękosławski? Jegomość kanclerz? On jeden chyba nie – nad grobem przecież stoi.

62 łac. – władca absolutny

– Sam widzisz – morze ludzi.

– Obyś się w nim nie utopił razem z koniem. Wiesz, co ci powiem, panie bracie?

– Słucham, Jacku.

– Zastanowię się nad twoimi słowami, kiedy już zasiądziemy na Kremlu, będziemy kniaziami i udziałnymi książętami. I przeliczymy nasze soroki soboli, złote ruble, dukaty i perłowe łańcuchy. Wtedy będę wiedział, czy mi się bardziej opłaca być moskiewskim wielmożą, czy polskim wojewodą. Bo na razie najbliżej nam do topora albo szubienicy. Co łatwo zdarzy się, jeśli ruszy na nas książę Ostrogski albo pan hetman Żółkiewski z wojskami kwarcianymi. A teraz dolej mi wina!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki